

**Józia**

## **Pamiętnik z Sybiru i powrotu do Polski**

*10 luty 1940, Niedźwiedna Kolonia*

Miałam wtedy piętnaście lat. Mieszkaliśmy z osiemnastoletnią siostrą Karoliną i mamą w miejscowości Niedźwiedna Kolonia w województwie lwowskim, gdzie moi rodzice kupili ziemię od hrabiego Starzyńskiego. W tej enklawie otoczonej wioskami ukraińskimi mieszkało około 50 polskich rodzin z Małopolski. Byliśmy tylko z mamą, bo tata zmarł w 1937 r.

Nad ranem przyszli po nas żołnierze, natarczywie pukając i łomocząc w drzwi i okna. Obudzili nas głośnymi okrzykami „Otkrwaj, sobierajsia, bystriej, bystriej!!!” - to było przerażające. Byliśmy przestraszone, a mama tuląc nas w ramionach, cała drżała ze strachu. Tymczasem żołnierze nadal stukali, w końcu mama otworzyła drzwi i zostałyśmy wypędzone na dwór - dramatyczne chwile...

Pamiętam, że zima była wtedy sroga. Pochmurno, bardzo wiało i było około minus dziesięć stopni Celsjusza. Załadowali nas na sanie, nie pozwalając niczego ze sobą zabrać – poza pierzynami i kocami, które potem okazały się bezcenne.

Tej nocy wywieźli prawie całą naszą wieś. Zostały tylko dwie polskie rodziny, które po zajęciu Niedźwiednej Kolonii wymordowali najeźdźcy.

Do Żółkwi było jakieś dwadzieścia kilometrów. To był makabryczny kulig, pośród szlochu kobiet i płaczu dzieci. Później wąskotorówką zawieźli nas do Lwowa i załadowali do bydłowych wagonów, w których były prycze, żeliwny piecyk i wyrżnięta w podłodze dziura, wiadomo po co. Szybko zrozumieliśmy, że nasza droga prowadzi na wschód. Czuliśmy się bardzo niepewnie. I tak jechaliśmy przez cały ZSRR: Lwów, Kijów, Tuła, przez rzekę Wołgę, przez Ural, Nowosybirsk, Tomsk, Omsk, aż do Krasnojarska. A tam czekały na nas sanie na rzece Jenisej. Nasza podróż trwała bardzo długo w warunkach na pewno nieprzeznaczonych dla ludzi...

To był już marzec. Przed nami ponad tysiąc kilometrów, saniami po skutym lodzie Janiseju. Było okropnie zimno - strasznie mroźno - jeśli powiem, że było czasami około minus 20 stopni, to na pewno nie skłamię. W tym momencie pierzyny to był nasz największy skarb. Do Pitchorodka dotarliśmy na Wielkanoc.

Zaczęliśmy pracować w kopalni złota. 90 gram chleba na dzień, garstka cukru i jakiejś kaszy raz na trzy dni. Z głodu zasypialiśmy - to był sposób na przetrwanie. Czasami przyjeżdżali Tungusi i przywozili mięso z jelenia, to był nasz przysmak. Towarem wymiennym była tabaka. Któregoś dnia znalazłam samorodek złota, wielkości kurzego jaja. Ze szczęścia zaczęłam okropnie krzyczeć. A pilnujący nas Tatar tak skomentował to wydarzenie: „Ty gównno znalazła”. I w nagrodę dostałam bochenek chleba. Cieszyłam się i podzieliłam się z najbliższymi mi ludźmi – pamiętam, że wszyscy się najedliśmy, ale poczucie niesprawiedliwości zostało po dziś dzień - takie to były czasy okrutne.

*1943, Pitchorodek*

Przyszedł rok 1943. Pod koniec lata, 4 września razem z siostrą zostałyśmy przymusowo wcielone do wojska. Dostałam polską książeczkę wojskową podbitą przez majora Owadiuka Leona Wiktora. Nasza mama w tym czasie była bardzo chora, nie mogła wyruszyć w podróż razem z nami. Bardzo ciężko było się rozstać. Nie pozwolono też nam zostać razem z nią...

Około pięćdziesiąt dziewcząt załadowanych na barki, wyruszyło górską rzeką Pit do Sielec nad Oką. I zaraz na samym początku spotkała nas tragedia. Ja i sześć dziewcząt za potrzebą płynęłyśmy małą łódką do brzegu. Na jednym z wirów łódź się przewróciła i dwie nieumiejące pływać dziewczyny utopiły się. Ja miałam szczęście, gdyż w ostatniej chwili moja siostra wciągnęła mnie na barkę - zawdzięczam jej życie. Wieść o tragedii dotarła do naszej matki, która myślała, że jedną z dwóch ofiar jest moja siostra. Umarła na zawał serca...

Dotarliśmy do Nowosybirsk. A tam na stacji kolejowej tydzień oczekiwałyśmy na pociąg. Poczekalnia była naszym domem, ale bardziej przypominała szpital pełen rannych żołnierzy. Znajdował się tam wielki ekran,

na którym wyświetlali wojenne filmy. Spotykaliśmy się z dużą życzliwością. Żołnierze dzielili się z nami chlebem i konserwami z różnych kasz i przygrywali na harmoszkach, tańcząc na jednej nodze i podpierając się kulą - to były sposoby na naszą trudną sytuację.

Po tygodniu ruszyliśmy do Moskwy, a stamtąd do Riazania. Ciężka to była podróż. Jeszcze piechotą dziewięć kilometrów i byliśmy w Sielcach. Obowiązkowo łaźnia i włosy cięte po męsku, a później mundur, buty, watowana wiatrówka, czapka i ... bawełniane majteczki. I uśmiechający się magazynier z komentarzem: „dziurawe wojsko”. Nawet nie wiem co miałyśmy o tym wszystkim myśleć, ale przecież nikt nas o zdanie wtedy nie pytał.

Mieszkałyśmy w ziemiankach, spałyśmy w lesie i było tak ciasno, że z boku na bok przewracałyśmy się na komendę. Więcej śmiechu i płaczu zarazem, niż snu.

Nie wiem jak zasypiałam na tych sękach, to było strasznie niewygodne. Chyba dlatego, że byłyśmy tak przemęczone, to zasypiałyśmy. Sienniki wypchane słomą dostałyśmy po kilku tygodniach - przyniosło nam to dużo radości i zadowolenia - wreszcie można było się wyspać. Miałam takie zadania jak pranie odzieży i pomaganie rannym żołnierzom, szłam za frontem - piechotą.

Zaczęło się szkolenie. Dostałyśmy pepesze - to było niezapomniane szkolenie. Boże, co my wyprawiałyśmy z tymi karabinami! Rozłożyć się to dało, ale poskładać nie można było w żaden sposób. Nie wiem, ile czasu upłynęło zanim opanowałyśmy sztukę montażu tych kawałków metalu i drewna w jeden działający mechanizm. Nadszedł oczekiwany czas pełnienia służby. Zaczęłyśmy chodzić na wartę. Było to bardzo ciekawe doświadczenie. Jednak nie na każdy posterunek dawali nam naboje. Była to losowa sprawa lub „widzimisie” nadzorcy.

Któregoś razu koleżanka próbowała zatrzymać intruza –opowiadała, że bardzo się bała. Ten jednak oświadczył, że się jej nie boi, bo przecież nie ma naboji. Ta bez namysłu odwróciła karabin i zaatakowała kolbą, kładąc go na ziemię. I tak biedak leżał przez kilka godzin, aż do zmiany warty. Okazało się, że to był dowódca - na drugi dzień dostała pochwałę.

W obozie w Sielcach był polski orzeł, uczyłyśmy się śpiewać i mówić czysto po polsku i chodziłyśmy na Msze Święte odprawiane przez kapelana

Wilhelma Kubsza, który w latach sześćdziesiątych był proboszczem kościoła garnizonowego św. Elżbiety we Wrocławiu.

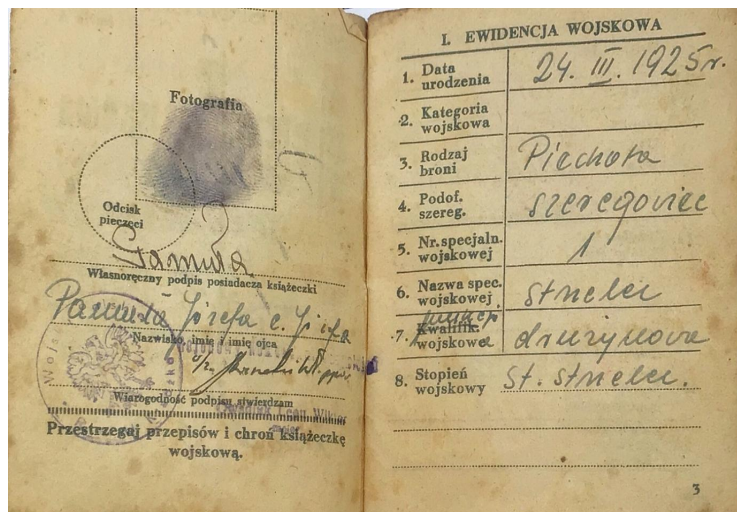
Maszerowaliśmy też przed trybuną, z której Zygmunt Berling i Wanda Wasilewska wygłaszali patriotyczne przemówienia.

*Lipiec 1944, Chełm*

Wreszcie wyruszyliśmy na zachód i żyliśmy nadzieją... Pod koniec lipca 1944 przekraczałyśmy rzekę Bug. To były niezapomniane chwile, gdzie w Chełmie witali nas kwiatami i łzami. Ten wzruszający moment do dzisiaj mam w sercu.



Zdj. 1. Józefa Pamuła (w środku) z żołnierzami



Zdj. 2 Skan Książeczki wojskowej Józefy



Zdj.3 Od lewej józefa Pamuła, siostra Karolina Pamuła (potem Kupiec) i koleżanka Niedźwiecka

Źródło przekazywanych informacji - Bogdan Szyszka, syn Józefy Szyszka z domu Pamuła ,córki Józefa i Franciszki Pamuła z d. Nowak.

Józefa Szyszka z domu Pamuła

Ur. 24.03.1925 r

Zm. 18.12.2012 r